Poznańska Przez rozbitą szybę.

ZOFJA POZNAŃSKA

PRZEZ ROZBITĄ SZYBĘ

WARSZAWA — 1935

ZOFJA POZNAŃSKA

Przez Rozbitą Szybę

WARSZAWA — 1935

Druk. „Monolit", W-wa, Elektoralna 3, tel. 5.81-92.

WOŁANIE PŁCI

Ocierając spocone czoło, dotykając palcami szyi, krzywiąc zagryzione usta i patrząc na mnie z nienawiścią, wyplułaś to z siebie, żeby zapomnieć, żeby się odstało.

To było lato przeklęte, bezdomne.

Upał bije jadowitą żmiją po głowie, praży się farba ławki, omglone oczy wpatrują się w tę stronę, skąd ma przyjść. Rozpalona szosa, jego gadanie okrutne, a tchórzliwe, wleczesz się po szosie z tragicznem łakomstwem wpatrzona w to duże przylepne ciało.

Szorstkość i lepkość zwalonego drzewa, przedzieranie się przez krzaki, grzeszne schowanko na ziemi między gałęziami. W ostygłym parku noce drażnionego pragnienia; atramentowa bryła lasu na pagórkach, kanciasta ławka, sromliwy strach świdrujących lampek elektrycznych.

O zmroku, w iglastej głębi lasu kolana biją o kant ławki, udręczyła cię nagła rozkosz przerwana ostrzegawczem „już“. Czarna postać męż-

czyzny pochyla się nad ziemią ścieżki, beztroskie „popatrz“, biały śluz w powietrzu, lotny dowcip nad materją.

Pod cmentarnym murem, w mętach ciemności, twoje niedobre słowa bezsilnie mieszały się z jego rzadkiemi łzami — rozpięty był pająk kamienny białego mostu nad miasteczkiem we mgle — na schodach z mogilnych kamieni męmęczyła się twoja wymuszona pomoc, wysilała się twoja przemyślna wynalazczość, powoli uspakajała się jego twarz.

Po gorącym zielonym pagórku wspinasz się z sercem w gardle, z głową w kleszczach, za przewodem jego, pewnych swojej przewagi, ciepłych pieszczot. Na ciernistej ziemi, w cieniu lasku, udręczony odpoczynek głowa przy głowie i ta nagła, niebezpiecznie zawieszona między zabójstwem i śmiesznością, bójka: twoja dłoń zaciśnięta na jego gładkiej szyi, jego nawpół zdziwiona, nawpół rozbawiona przemoc, czerwony znak na ramieniu tej przemocy.

Wytchnienie ukoiło cię na ławce pod dębem, wysoko, w opiekuńczej ciemności, w osłaniającym cieniu wielkiego, dobrotliwego drzewa;

białość twojej miękkiej sukni, ciepło jego ramion, dotkliwy blask zębów, przejmujący błysk w zmrużonych oczach, śmiech beztroski, zazdrość podnieconego trochę na widok czyjejś nieprzyzwoitej zguby pod ławką, łaska dobrego humoru i twoja wdzięczność miłosna.

Z wieczornej ulicy była ta zestrachana dziewka, przerażona, że odejdzie, że zostawi, że nie wróci, taki był jego nagły napad i to, co z niego gadało. Że nic, że jesteś dla niego niczem, że jeszcze tylko trzyma go przy tobie litość i wygoda. Twoje rozpaczliwe wołanie i ten haniebny, bezsilny bieg za nim. Słyszysz swój błagalny głos, swój gęsi krzyk, widzisz go odchodzącego wielkiemi krokami, drażniącego się z tobą dziwnym figurowym chodem.

Natrząsał się z ciebie, upadłej, ten wieczór wędrówki po deszczu za tańszym fiakrem, w rozmiękłem obuwiu, w mokrych pończochach. Potem, w głębi skórzanej budy, pod ceratowym fartuchem, niechęć i przymus, zadyszane zmęczenie i otumaniony niedosyt.

Jak żywiczny, pokrzywny kłąb pełen gryzącego żaru, potem i łzami ociekający, parną mgłą

i rdzawem zimnem nasiąkły, jeżyło się to bolesnemi powiedzonkami, śliskie było od lekkomyślnego śmiechu, miało nie do zniesienia pożądany zapach jego skóry i mokrą, cienką, twardą gładkość jego zębów. Kamieniujące słońce, koszmar lasu po nocy, błędne miejsca w iglastych krzakach, na kolącem pastwisku, wśród rozrosłej roślinności drzew, na oziębłych startych ławkach, na kamiennych stopniach, krzywa droga bezdomnej żądzy, którą potykając się, zataczając się bezwolnie, brnęłaś przez to przeklęte lato. Trzesz palcami czoło, drzesz paznogciami szyję, do krwi zagryzasz wargi i, patrząc na mnie z nienawiścią, wyrzucasz z siebie gardłowym szeptem dzieje swego opętanego lgnięcia.

MIŁOŚĆ NA TARASIE

Gwiazdami zieje niebo, na garbie ziemi czarny blok lasu, nocy trupi ciąg.

Szumi trącanie się krzaczkowatych flanców w wąskiem, długiem korycie skrzynek.

Świetli się akwarjum sali czterema dużemi oknami, przesuwają się za szkłem ludzie-czytelnicy, gazety i pisma składają się, rozkładają stronicami.

Przez krtań i płuca przebija się śliski napór powietrza, zamiera w przejmującym lęku serce — myślą czepiasz się rzeczy oczywistych i martwych: „Podłoga jest kamienna, ławka jest drewniana".

Jego bliska głowa obejmuje zimny i ciemny plan, wykalkulowany oględnie i stanowczo.

Słowa śliskie i płaskie, jak cienkie, niegodne klingi, układają się w jego zabliskich ustach, a syta twarz i pełne, zażywne ciało pochylają się ze złodziejskim błyskiem oczu, zwierzęcym blaskiem zębów, leniwem ciepłem ramion nad twoją znie-

ruchomiałą postacią i boleśnie skupionem uniesieniem głowy.

Odpowiadasz gorączkowo, patrzysz nieprzytomnie, poddajesz się przemocy tego dziecięco-zwierzęcego czaru.

Ponad trywialny żargon jego pobieżnej erotyki, ponad oślizgłą nieczystość jego postępowania, z wzgardą rozpaczy wznosi się twoja okłamana, nieszczęśliwa miłość.

W naprężonych rękach, w zgonionem sercu, w spętanych biodrach dźwigasz ją.

Nie boi się śmiertelnej nocy, ani jego złych uczynków, ani twego potępienia jej milcząca, natchniona nad wami obecność.

NOCE NIENAWISTNE

1.

Nieubłagana noc budzi w tobie okrutne, podskórne życie miłosnej udręki, które wypełnia cię, drżącą, śmiertelnem zmęczeniem.

Skazana na samotność w godzinie popędu zmysłowego, zamykasz oczy ze wstydu.

Skulona marzniesz, dotykając się błądzącemi dłoniami, splatasz i rozplatasz palce, beznadziejnie szukasz znajomego ciepła jego skóry.

Policzkiem dotykasz poduszki, bezradnie ocierasz się o słone od łez płótno, poruszasz ustami, w niewypowiedzianej męce pragnienia wodzą po powietrzu niecałowane wargi.

Kryjesz głowę, opętaną przywidzeniem, że dotyka jego szyi, ociera się o jego plecy; rozplecione ramiona bezradnie chowasz pod poduszkę, boisz się ostrożnie układanych nóg.

Bezsilnie starasz się zgubić gdzieś, na przestrzeni prześcieradła, swoje tęskniące ciało

i lgniesz do ciemności, błagając, żeby rozprzęgło się w tobie skupione pożądanie.

2

Pod ciężarem nocy leżysz przygwożdżona do łóżka.

Leżysz nawznak, jak umarła, księżyc opiera ciężką pięść na twojej twarzy.

Pali cię krew twojej nagości, boli cię nieruchomość, do której się zmuszasz.

W krtani tkwi, jak narośl, krzyk, który siłą tłumisz, żeby był milczeniem.

Kołdra, jak pochwa, obcisła, owija cię z agrzanem płótnem, śnieżne zimno, prósząc przez okno cienkiemi strugami, uwija się po pokoju, trąca o sadzy ciemności nieżywy, urojony trzepot.

Oczami szeroko otwartemi patrzysz w swoją krzywdę i nie widzisz jej.

Sercem obnażonem dotykasz swego upokorzenia i nie czujesz go.

Mózgiem sięgasz po myśli potępiające, ale zamarło w tobie myślenie.

Między biodrami, w złem ukryciu, w ciągu

długich bezsennych godzin rośnie gorsza od agonji nienawiść.

Obok ciebie, w ciasnym oplocie, w rozkoszy zapachu, w bolesnem starciu oddania — niema go.

Leż tak bez ruchu, bo jeśli się poruszysz, to skurczysz się nagle, to zatracisz się w cielesnej tęsknocie, to zagubisz się w męczącej próbie oszukania swojej żądzy, przepadniesz.

Leż tak bez ruchu, bo jeśli się poruszysz, to rozrzucisz ręce i nogi, skopiesz kołdrę, skoczysz, pięściami uderzysz w okno, roztrącisz oporną ciemność i krzycząc, rzucisz się w dół.

3

Sprzysięgły się przeciw tobie, bezmyślnie wyprostowane, cztery ściany pokoju — skrzypiącego pudła.

Leżą odrzucone twoje niepotrzebne kształty osłaniające się, jak przed ciosem.

Niewidzialna cicha dłoń zaciska się na lewym boku, wpijając zgięte palce między żebra.

Lepka, gryząca ciecz krwi rozlewa się w za-

ciśniętem miejscu, nie do zniesienia dolega jej przyspieszony bełkot.

Wypychasz z pod czaszki uporczywe, rażąco wyraźne obrazy, żeby nie wpatrywać się w nie intensywnem patrzeniem wewnętrznem.

Siłą wywołujesz w sobie białe strome wzgórza, ubite zimno śniegu, śmiały, mknący lot narciarzy, prawie wdychasz mroźny prąd wiatru.

Wyimaginowanem, sprężystem szczęściem sportu usiłujesz przesłonić rzeczywistość, która, niewiadomo jak, przemknęła przez miasto, żeby odbiło się drgającym nalotem na twojej ciemności fantastyczne istnienie bez twarzy i postaci istoty, która jest jego.

Walczysz, jak umiesz, z zaciskającym się na lewym boku chwytem, z wewnętrznym wylewem gryzącej krwi, a tam w głębi miasta, przez które przenika twoja pasja, on obejmuje szczęśliwe ciało innej.

Opętana myślami malującemi, rzeźbiącemi, naświetlającemi to miłosne widowisko, bronisz się zaciętą wytrzymałością, siłą odporną imaginacji, beznamiętnym, wolnym biegiem zimowym.

WRÓG

Nadęty nieszczerą wiarą oddzielisz się umiejętnie od zmagających się światów.

Życie wymościsz Biblją; jak watą, obłożysz się Bogiem.

Amuletami kunsztownych słów obwiesisz się gęsto, aby głośno brzmiała namaszczona gwara twojej modlitwy.

Rzeczy żywe obciążysz ornamentami, żeby umarły.

Rzeczy bolesne dobijesz wytłaczaną blachą zimnych zdań.

Nie umiem tych słów rozpaczy, goryczy i wstrętu, które trzeba ci rzucić w oczy, poeto gładkiej zręczności.

Mogę tylko patrzeć, czuć i pamiętać...

Straszna jest nagość świata, w której pręży się czyjaś moc i czyjeś groźne zwycięstwo.

Przerażająca jest krzywda, która obróci się przeciwko nam, żeby nas zgnieść.

Przerażający jest los miljonów umarłych i żywych, za który czeka nas śmierć.

Z twojego jestem świata i nic mnie przed nim nie broni.

Trzyma mnie, w kleszczach podstępnie karmiących rąk, to, co wielbisz słowami brzęczącemi, jak pieniądze.

Więzi mnie siecią wstrętnych obyczajów, które chwalisz pompatycznie.

A nocą, oko w oko z otwartem niebem i piętrzącem się miastem, nienawidzę cię i pragnę uparcie i marzę gorączkowo, że zabiją nas razem.

BRZOZY

1.

Kiedy byłam podlotkiem, miałam bardzo wysoką brzozę.

Okrągłość jej można było objąć dłońmi.

Białoskóra miała jedno skaleczone miejsce na korze, które przewiązałam gałgankiem.

To ja, udając, że ją całuję, wygryzłam ostrożnie, niby niechcący zadarłam zębami korę.

Codzień odsłaniałam to miejsce, dotykałam policzkiem, językiem i palcami skóry mojej brzozy.

Obejmowałam ramionami jej ciało rośliny, patrzałam na wydłużony tors i rzadkich, rozchwianych gałęzi za długie, kolankowate kończyny, na listwę rozedrganą, na listki, które opływały, jak stado małych rybek, gnące się drzewo.

Brzoza mojego dzieciństwa miała gorzki sok, drzazgowaty smak i gładką nagość.

Miała na korze zgrubienia, jak obumarłe usta, rozdwojone, popękane i czarne.

Wybiegała, zwężając się, jak droga, wysoko w górę.

2.

Leżą w przestrzeni na wietrze fale listkowej zieleni, bluzgając szumem.

Poddane powiewom, uczepione u nasady o drzewo, jakby się pływaczka, leżąc na wodzie silną, niewielką dłonią uczepiła brzegu, objęta prądem.

Trzony niepewne, zieleń cierpliwą, oplątaną korzeniami brzóz, poję niespokojną krwią.

Leżą, twarzą do nieba, dłońmi mocno uczepiona brzegu przestrzeni, spalonemi ustami milczące, niespokojną krwią szumiące, brzozy.

SPOTKANIE Z TWARZĄ

W gwarze dotykalnym, jak gorący puch, wije się płomień ulicy.

Leżą na nim nieruchomą kratą mocne sztachety, czepiają się ich krzaki, które ciemność czyni kolczastemi.

Na tle z ognia, żelaza i cierni cielista twarz, okrągła porcja soczystego mięsa tkwi, z jadalną zalotnością rozciągając rozchylone usta.

Oczy z gotowanego błękitu błyszczą się tłusto.

Rude, płaskie włosie ozdobnie oblepia pulchną okrągłość.

Ciemność, niechętna moja ciemność, usuwa się od tej karnalicznej maski, w której podstępny, chytry, zdradziecki fałsz, jak trucizna w potrawę, wmieszany jest w tłuszcz, mięsiwo i soki.

Ciemności, obroń mnie przed złośliwością mięsa.

Osłoń gorzki popiół moich dni przed tępą złośliwością mięsa.

Stań między moim dręczącym grzechem i łakomą, złośliwą ciekawością najedzonych cielsk.

PRZEZ ROZBITĄ SZYBĘ

Wysokie nagie okno ma rozbitą szybę.

Zygzak kaleczący obwodzi otwór, ostre ułamki leżą na blasze.

Nieustannie przesuwany kantem po palcach przezroczysty trójkąt zostawia długie rysy, które krwawią.

Przez rozbitą szybę wyciągam do ciebie poranione ręce, Boże, którego niema.

Szukam Cię — gubią się napięte, płonące oczy wśród chmur nad dachami.

Prąd wiatru wtargnął, prując szelestem bujność drzew.

Chwytają go głodne, ściśnięte płuca.

Nigdy tego nie zapomnę: usta (o, wargi), oczy; to te właśnie: czarne, wielkie; uśmiech.

Nie każ mi tego tak strasznie pamiętać, wyjm to ze mnie, nie mogę tak.

Moje miejsce w kącie, miejsce niepotrzebnej — ja nie chcę.

Nie patrz na niego, nieznajoma dziewczyno,

nie mów do niego, o nie uśmiechaj się, nie unoś tak głowy.

Jak uchronić cię przed dzikiem mięsem szaleństwa, które we mnie rośnie, jak ostrzec twoją słodką młodą kobiecość przed mo:m rozżartym głodem, jak obronić twoją gorącą szczęśliwą miłość przed mściwym ciosem mojego nieszczęścia.

Samotna, w omijanym kącie, patrząc prosto w twoją obojętność, jedyny, muszę unieść wysoko moje upokorzenie, żeby przeinaczyć zaszczute zwierzę, które jest mną.

Pod oknem, poza obrębem świata chłonąć z wysiłkiem urok twojej obecności, daleko od ciebie pochylającego się raz poraz nad nią.

Na oczach ludzi cierpliwie ogarniać mękę tego spotkania, znieść, przyparta do muru, zepchnięta przez bieg życia, jej prawo do ciebie, okrutny sens tej chwili, przymus konieczności i twoją obcość, ty, który jesteś we mnie.

PODRÓŻ MORSKA

Okręt kipi, jak biały czajnik,
Czarne futro, ogoniaste dymy,
Tak płyniemy, pozornie odurzeni,
Przez pięć mórz kokainy.
Po stłoczonej tłuczemy się wodzie.
Wzdęta bokiem po nas sięga,
Chore miejsce w piersi zaciska obręcz,
Zatoczone koło widnokręga.
Pora wrzuca nas w dzień, jak do pieca,
Pora wtrąca nas w noc, jak do grobu,
A po niebie chodzą ogniem i srebrem
Obojętne dalekie globy.
Zamazane pianą wody
Odzywają się zwierzęcym głosem,
Uwięziła nas bezpiecznie konstrukcja okrętu
W dmących światach kolistej urody.
O widnokrąg zachód kulą trąca,
Brzęczą fale natarte księżycem,
Czarna gorzka modlitwa rośnie w ustach palących,

Smołą ciało, jak powróz nasyca.
Metaliczne lustra klimatu
Ocierając się o nas ślisko,
Wśród mórz martwych, w próżni światów
Mieszkańcy rusztowania błąkamy się chwiejnie,
Chwytając się sztab i listew.

ZŁA CHWILA

Gorący odwar świata ma swój nieubłagany zapach. Zanurzam się, uległa, jak płomyk świecy; chwiejnie ostała się moja świadomość. Powietrze, nakryte czarną płytą nieba, naoliwione światłem, wodzi ciągliwie po głowach, wielki lej ludzi: szepcąca kolejność. Smutek ma swoją odwagę, żal ma swój cierpliwy grymas, na straży niepokoju stoi przejmująca pamięć o młodości, że odchodzi. Podaję to sobą trafnie, z przekorą, jakbym po drżącym nerwie stąpała w ciepłej przestrzeni oddechów, a krwią serdeczną pojona, udana obojętność oddziela mnie od tego miejsca, gdzie pali się twoja czarna, nieczysta męskość. Przecina je teraz ruch ręki, która zmusza do wszystkiego i nie daruje nic. To mnie męczy, że patrzeć muszę na tę rękę z równo zawiniętym rękawem białej koszuli, na profil ze ściągniętemi nozdrzami. Tli się mały papieros, który trzyma, oparta o barjerę twoja dłoń o pięciu okrutnych, chciwych palcach, mglisty dym wydmuchują twoje usta —

znam przecież chwyt tych mocnych warg. O, wyznać ci oczami, w których się mąci, że chciałabym być tem kobiecem ciałem, na którem zaciśnię się żelazna obręcz twojej żądzy i powiedzieć ci ustami, które nacina uśmiech, że twoja partnerka w białym kapeluszu nic mnie nie obchodzi.

NAD MORZEM

Ziemia nie jest całym światem, jest ze świata wydzielona i obwiedziona mocno horyzontem. Powietrze to wysokość, sięgająca od ruchliwej powierzchni do sinego rezerwuaru nieba, pod którym leżą strącone kłaczki obłoków. Płaskość to zraz wilgotnego piasku i ogromny mięczak morza. Stopy twoje ziemskie są w swojem zaniedbaniu. Chude skupienie kostek, żyłek, skurczonych palców, zdartych paznogci, ścięgnami przymocowanych do kości i obciągniętych posiekaną, zgrubiałą skórą. Wepchnij je bose w kruszącą się mieliznę, a teraz po muszlach i zzieleniałych płaskich skałach stąpając, kładąc stopy wrażliwe i chwytne, jak dłonie, wejdź do morza i przedzieraj się przez jego masę wyjącą. To nieprawda, że morze jest płynne, jest obdarte ze skóry, zarzuca surowem mięsem. Kiedy przedostaniesz się przez tę kąpiel, jak przez zwał jeszcze ciepłych kadłubów, po pochyłem dnie prąc przed się, przemocą zdzierasz z siebie bezkształtne obrąbane

kawały, stąpając odwijasz z siebie ciągliwą zawiesinę, wchodzisz w oślepiającą materję słońca, żeby się rozpłomienić i ukryć w obrębie cienia swoją bezwstydną gotowość.